№ 48.

Warszawa dnia 19 Listopada / 1 Grudnia R. 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

OD REDAKCJI.

W roku przyszłym 1867 Tygodnik Mód pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami. W części literackiéj pójdą w dalszym ciągu Pamiętniki Jana Bugaja, artykuły naukowe, Korrespondencja z Paryża, Podróże, Kronika artystyczna, Pogadanki, poezje i t. p. W dodatku zaś po ukończeniu rozpoczętéj powieści *Dziedziczka Jodłowca*, pomieściemy tłumaczoną z francuzkiego p. t. *Daniel Roch* przez Erkmana Chatrian a potem oryginalną p. t. *Macocha*. Nowi prenumeratorowie za zgłoszeniem się, otrzymają dodatki z drukującą się powieścią Dziedziczka Jodłowca.

Ponieważ nieregularne odbieranie całych numerów lub niektórych dodatków, zupełnie nie z winy Redakcji pochodzi, w podobnym więc wypadku, prosiemy o zgłaszanie się do właściwych stacji pocztowych albo listami niefrankowanemi i niezapieczętowanemi do Ekspedycji Gazet w Warszawie, lub wreszcie do Redakcji, a kwestja z pewnością zostanie załatwioną.

J. K. GREGOROWICZ
Redaktor i Wydawca.

OBRAZKI
Z PODRÓŻY DO AUSTRALJI

przez

Wawrzeńca K.

(Dokończenie).

— Uspokój się pani — odrzekł Walery — zaręczam że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

— Nie znasz go panie, to mój wróg....

— Dosyć tych scen teatralnych — wrzasnął kapitan ze wściekłością — usuńcie się... zostawcie nas samych.

— To moja siostra kapitanie—odezwał się Edward wskazując na Elwirę z wielkiem zdziwieniem poglądającą dokoła.

— Skoro twoja siostra, wolną jest. Z tą zaś panią muszę się ułożyć. Zostawcie nas samych.

— Panie! zabij mnie — zawołała Lenora padając na kolana przed Walerym — wolę śmierć jak pozostanie nawet na chwilę na łasce tego człowieka. Zabij mnie, zabij!

— Z kądże takie zaufanie? — zapytał kapitan z szyderstwem — zdaje mi się że poznanie wasze dziś dopiero nastąpiło.

— Pani téj, kapitanie, przyrzekłem opiekę i dotrzymam jéj — odrzekł Walery i mówił daléj z pewną stanowczością. Nie wchodzę w to jakiś miał zamiar w uprowadzeniu tych kobiet, w każdym razie sądzę

że zgodny musi być z celem naszego związku. Inaczéj nie byłbym wykonawcą twojéj woli. W takim więc razie przy układach mogę być obecny, i oświadczam ci stanowczo, że nie opuszczę pani téj na chwilę.

Kapitan drgnął cały, twarz okryła się pąsem a włosy na głowie najeżyły się jak szczecina. Na chwilę zdawało się że wybuchnie z największą wściekłością, bo nawet chwycił za rewolwer, ale zobaczywszy ten sam ruch ręki u Walerego, powstrzymał się i wyjąkał trzęsącemi się jak w febrze ustami:

— Panie Walery, proszę cię o chwilkę rozmowy. Chodź za mną.

Kiedy kobiety zostały same z Edwardem, bo i Dick wysunął się na dwór, po małéj chwilce pełnéj najstraszliwszéj niespokojności, pod ścianą zewnątrz izby dało się słyszyć kilka groźnych krzyków, potem szamotanie a w końcu donośny głos kapitana jakby trzask łamanych burzą gałęzi:

— Skrępujcie mu dobrze ręce. Ha! młodziku! — już dawno wspinałeś głowę za wysoko. Ale wszystko ma swój koniec. Odprowadźcie go do mego namiotu i nieodstępujcie na chwilę aż do mego powrotu.

Kiedy wszedł do izdebki, oczy jakby obłąkane wlepił w przerażoną Lenorę i nie zdając się uważać obecności Edwarda i Elwiry stojących jak trusie w kąciku, zaczął się przechadzać wielkiemi krokami.

— Tak, wszystko musi ulegać mojéj woli — mówił ściskając pięście — a biada temu kto się jéj sprzeciwia. Młokos odbierze to na co zasłużył, a ty Lenoro porzuć próżny upór który cię tylko może do nieszczęścia doprowadzić. Przez ciebie i dla ciebie straciłem wszystko, byłabyś panią szczęśliwą, kochaną, uwielbianą, jednak pogardziłaś mną, ale wiedz że w końcu i ja tobą pogardziłem. Przypadek razem nas zagnał do Australji, ten sam przypadek oddał cię w moje ręce, bo nie sądź abym jak jaki niedołęga miał łzy ronić i gonić za tobą po świecie. Przeznaczonaś mi widocznie i nic nas już teraz nie rozdzieli... Płaczesz? — przestań niepotrzebnych szlochów. Żona kapitana Foksertona, tak świetne zajmie stanowisko, że go pozazdrości każda, choćby najświetniejszego rodu. Za kilka miesięcy przekonasz się...

— Nigdy! — przerwała Lenora — o mój Jakóbie... o Boże!

— Ha — ha — ha! — zaśmiał się kapitan jak szatan nad zdobytą duszą. — przyzywasz Jakóba? — czyż nie wiesz że jesteś wdową?

— Wdową? — powtórzyła Lenora przybiegając z rozpaczą do kapitana — co mówisz? powiedz... na miłość Boską... to sen... to marzenie...

Biedna kobieta taki przedstawiała obraz straszliwéj boleści, tak zbladła i drżała cała, że nawet kapitan tak kamiennego serca, zawachał się chwilkę jakby namyślał się z odpowiedzią.

— Nie mam co taić — rzekł wreszcie po chwili — rzeczywiście jesteś wdową, sam widziałem męża twego zabitego przy rozprawie...

Lenora krzyknęła jakby ją wskróś mieczem przebito, wyprężyła się konwulsyjnie i padła na ziemię bezprzytomnie. Cios był za nadto silny, za nadto nieludzko wymierzony aby go mogło wytrzymać serce kochającéj małżonki. Elwira rzuciła się do omdlałéj, Edward zaczął twarz jéj skrapiać zimną wodą, a kapitan stał jak wryty wpatrując się namiętnie w piękną zawsze twarz Lenory.

W tem drzwiami do połowy otwartemi, wpadł do izby nagle jakby odgłos dalekiéj wrzawy pomieszanych głosów ludzkich. W chwilę potem buchnął wystrzał, jeden, następnie drugi i trzeci. Krzyki stały się wyraźniejszemi, przeplatane jakby wyciem dzikich zwierząt.

— Co to jest takiego? — zapytał sam siebie kapitan i szybko wybiegł z izdebki. Edward chciał także wyruszyć ale go zatrzymała siostra. Wrzawa nieustawała na chwilę, znowu rozległo się parę wystrzałów, i kiedy Edward przeczuwając coś niezwykłego i bardzo groźnego miał pobiedz i przekonać się o wszystkiem, nagle brzękło okno wytłuczone silnem uderzeniem i pokazała się w niem twarz tak szpetna, straszna i odrażająca, że Elwira ujrzawszy ją krzyknęła z największem przerażeniem.

— Jesteśmy zgubieni — zawołał Edward — już nas teraz od śmierci nic nie wybawi — i z rewolwerem w jednem ręku a sztyletem w drugiem, stanął przy oknie zabarykadowawszy wprzódy drzwi ławą i stołem.

XVI.

ZAKOŃCZENIE.

Na drugi dzień po opowiedzianych wypadkach, około południa, ze szczeliny skalnéj którą Lenora z Elwirą przeprowadzone zostały, wysunęła się głowa ludzka, z twarzą brunatną i włosem kędzierzawym, i ostrożnie cichaczem, nie robiąc najmniejszego szelestu, zaczęła nadsłuchiwać i starannie przyglądać się dokoła. Wszędzie było cicho, pusto, najmniejszy szmer nie zakłócał ogólnego spokoju, i nikt niedomyśliłby się nawet, że w tem samem miejscu przed dobą, odbyła się straszna scena pełna wstrętu i rozpaczy. Po chwili wysunął się cały człowiek bosy, prawie nagi z krótką dzidą w ręku zwaną *mammura*, i *tomahawkiem* czyli siekierą zawieszoną w biodrach za opaską z piór Kazuara utkaną. Ostrożnie, z rozwagą pnąc się po pochyłościach ze zgrabnością i bacznością żerującéj łani, dziki dotarł nareszcie do wysokiéj sosny, wierzchołkiem panującéj nad całą okolicą. W niejakiéj od niéj odległości leżały kawałki niedopalonego drzewa, połomane sprzęty, kupki gruzu i inne zniszczone części mieszkania ludzkiego. Były to szczątki budy, stanowiącéj czasowe więzienie Lenory z Elwirą. Dziki obszedł je, przyjrzał się zniszczeniu z największą bacznością, podniósł jakiś przedmiot kształtu księżyca na nowiu, i uśmiechnąwszy się jakby do znajomego, wetknął za pas obok tomahawka. Potem przy pomocy tylko nóg i rąk zaczął się spinać na sosnę, jak najzręczniejsza małpa, uciekająca przed ścigającym ją nieprzyjacielem. Wszędzie gdzie tylko spojrzał, rozciągała się dzika pustynia bez najmniejszego śladu jakiegokolwiek bądź życia, w jednéj tylko z przepaści dojrzał trzech trupów, dwóch białych, jednego czarnego.

Ukończywszy przegląd, dziki zsunął się na ziemię, w kilku susach przebył przestrzeń oddzielającą go od szczeliny, i zniknął zaledwie poruszywszy osłaniające ją krzaki.

W pół godziny potem tą samą drogą wyszło trzech znajomych nam dobrze, Jan Latour, Anglik ojciec Elwiry i Dumk, z którym szczęśliwym trafem spotkali się zaraz po napadzie, jakiemu tak nieszczęśliwie ulegli. Kiedy Jan z Anglikiem wycieńczeni na siłach, usiedli na ziemi ze smutnie zwieszonemi głowami, Dumk tymczasem z Dzikim przebiegał po załamkach parowu, prowadząc z sobą w rodowym ich języku rozmowę.

— Ach! to okropnie — odezwał się Anglik załamując z boleścią ręce — bydź już prawie pewnym znalezienia nieszczęśliwych ofiar i znów stracić nawet nadzieję... Gdzie są biedaczki... Elwiro, moja droga Elwiro...

— Milordzie uspokój się — przerwał Jan z którego twarzy znikły wszystkie ślady dawnéj tak miłéj wesołości. Dzicy nasi przewodnicy dzielni to ludzie, potrafili zwęszyć tak tajemną kryjówkę, dokonają swéj pracy do końca. Patrz, z jaką troskliwą drobiazgowością przebiegają miejscowość, szukając zapewne tropów zagubionych. Zaufajmy im a ręczę za skutek, znam dzikich, wiem że są okrutni ale umieją być wdzięcznemi do bohaterstwa. Patrz milordzie zbliżają się ku nam, jestem pewny że odgadli wszystko. Dla nich nie ma nic tajnego, ze szczegółów uchodzących zupełnie naszéj uwagi, domyślą się każdéj rzeczy i odkryją co wiedzieć pragną.

— With-fellowsy — odezwał się Dumk uroczyście — niech zapomną o smutku. Wigmany co tu stały spalili Donawary. Walka była zacięta, o to Beomerange — mówił daléj Dumk pokazując kawał drewna w półksiężyc wycięty — a ten co go wypuścił już przebywa w krainie wielkiego Ducha.

— Ale cóż się stało z temi co ich szukamy? — zapytał Anglik niecierpliwie.

— Donawary — odrzekł Dumk—odkryli kryjówkę With-fellowsów, napadli ich, pozabijali, wigwamy spalili, bo stanęli na ziemi co należy do Black-fellowsów.

— Ale kobiety? — Co stało się z kobietami? — zapytali z trwogą Jan z Anglikiem.

— Kobiety wzięli Donawary, ale With-fellowsy mogą spać spokojnie. With-fellows Jan był bratem dla Dumka, Unkan jest bratem Dumka — odrzekł Dumk wskazując na dzikiego który stał na boku z powagą w pewnem zamyśleniu — a Unkan to brat Donawarów co jednej dzidy nie podniosą w górę, jedną *nulla-nulla* *) nie uderzą żeby Unkan nie wiedział o tem.

— Więc on wiedział i o téj napaści?

— Yes odrzekł Dumk — Unkan szukał innych kryjówek pobliskich With-fellowsów a dzidy jego braci broniły swojéj ziemi.

— Więc kobiety których szukamy, znajdują się pomiędzy Donawarami?

— Yes.

— Elwira między dzikiemi — zawołał rozpaczliwie nieszczęśliwy ojciec — ach! — nieszczęście, zabiją ją, zabiją.

Dumk uśmiechnął się.

— Milordzie — rzekł po chwili — słońce nie posunie się na długość dzidy, a Lubry wasze znajdą się przy was.

— Więc chodźmy — chodźmy.

— Milordzie! — Dumk bratem with-fellowsa Jana, ale Unkan nie jest bratem Milorda i chce dostać rewolwer i prochu, żeby miał czem bronić ziemi swoich przodków.

— Dam nawet dziesięć i cały wór prochu — zawołał Anglik z radością tylko oddajcie mi dziecko.

— Yes — odrzekł Dumk i zwrócił się potem do Unkana wymawiając kilka słów niezrozumiałych.

Unkan rozweselił twarz, z przyłożoną ręką do piersi zwrócił się do Anglika i jak jeleń poszczuty psiarnią puścił się szybko przez parowy.

— Brat Jan — szepnął Dumk tajemniczo, odprowadzając Jana na stronę — niech spojrzy w parów, a znajdzie tam młodego Edwarda co u Lordowéj pił wino z dwoma with-fellowsami.

— A cóż on tam robi?

— Nic — leży, z drugim swoim bratem i z Donawarem.

— Więc zabity?

— Yes.

W parę miesięcy potem, rozeszła się wiadomość po całem Melbourne, że herszt Buszrendzerów znany pod nazwiskiem Black Douglasa napełniający postrachem całą niemal Australją, został uchwycony i pod silną strażą przyprowadzony do miasta. Radość była powszechną, od roku bowiem prawie z małemi przerwami, wszędzie podróże tak były niebezpieczne, że pojedynczo lękano się udawać w drogę, tylko zawsze zbierano się w większe towarzystwa, nie zawsze mogące oprzeć się napaści. W kopalniach nadto rabowano w nocy namioty, obdzierano, napadano na sklepy i mieszkania komisarza, a nawet w samem Melbourne dopełniono kilka zamachów, zdumiewających zuchwałością i odwagą. Z powiększeniem znacznem siły zbrojnéj, zdołano pochwytać rabusiów, aż wreszcie ujęto i samego herszta u jakiegoś rolnika, do którego przybył niezmiernie osłabiony pogonią.

Z wyprowadzonego śledztwa przekonano się, że uorganizowaną bandą dowodził kapitan Fokserton, inaczéj nazywany Fellow albo ostatecznie Black Douglas, który pod pozorem politycznego przewrotu całéj Australji, potrafił ściągnąć do swéj bandy nawet młodzieńców z lepszem wychowaniem. Po napaści ostatniéj na transport złota, bandzie dopiero otworzyły się oczy, powstały ztąd nieporozumienia odstępstwa, i ostateczna przemiana na złoczyńców wiecznie zaprzątniętych napaścią.

Właśnie Jakóbowie oboje, bo Jakób doznał tylko nader silnéj kontuzji w głowę zaledwie draśnięty przebiegającą kulą, układali plan wycieczki za miasto z Anglikiem i Elwirą, kiedy do mieszkania wpadł Jan i rzekł z największą wesołością:

— Piękna Lenoro! — ciesz się. Prześladowca twój i barbarzyniec uznany za winnego licznych zbrodni, rabunków i zabójstw, skazany został na powieszenie i za dni trzy wyrok ma być wykonany.

---

*) Rodzaj maczugi.

— Ach! Boże — biedny człowiek — zawołała Lenora blednąc nagle.

— Żałujesz go? — to rzecz szczególna.

— Wyroków Bożych nikt nie przeniknie, ale jakaż zła ludzkość, że ma jednostki godne tak okropnéj kary.

— Zapewne moja droga — odrzekł Jakób — ale wspomnij sobie wszystkie jego prześladowania i niegodziwości. Cóż się stało z Dickem?

— Odesłany zostanie do karnéj kolonji.

— A z Walerym?

— Zginął w walce z dzikiemi razem z Edwardem, gdy niegodziwy Fokserton potrafił im prawie z rąk wymknąć się.

Lenora ze złożonemi rękami wzniosła oczy ku niebu, dziękując Stwórcy za wybawienie jéj z nieszczęścia przez które przeszła. W trzy dni potem Gazeta miejscowa doniosła o wykonaniu wyroku z opisem wszystkich zbrodni winowajcy, z którego ułożyłem powyższe opowiadanie.

PRZEGLĄD

ŻYWOTA I PRAC MIKOŁAJA REJA.

(Dalszy ciąg.)

Zastanawiając się nad swojem życiem, Rej głównie obwinia mistrzów o zmarnowaniu czasu w szkołach. Owczesny uniwersytet krakowski, powiada, darmo tuczył nie jednego z nauczycieli, którzy zamiast strzedz młodych, czas na fraszkach przepędzali. Głowy niepotrzebnie zaprzątają fabułą Owidjusza i Wirgiljusza, a przy gramatyce nieraz bywają puki, od kary dziecko potrze sobie kolana i czoło, gdy zaś uczy się, stoi nad nim brzezinowy wójt i nim siecze go ojciec, siecze matka, siecze żak czyli nauczyciel. Powstając więc nie na nauki ale na sposób ich nauczania, Rej sam pracował nad swem wykształceniem, w czem pozbawiony dobrego przewodnika, mawiał, że lepszy jest zawdy żywy głos niż zdechła skóra, co miało znaczyć, że łatwiéj uczyć się z dobrego ustnego wykładu, niż z własnéj tylko ochoty, grzebiąc bez przewodnika w stosach ksiąg ogromnych.

Tak więc przez własną pracę, przez przysiadywanie fałdów po całych nocach, w Reju rozwinął się umysł i wrodzone zdolności. Jeszcze na dworze Tęczyńskiego zaczął zabawę z piórem, rymując dla żartu i krotochwili, a gdy dwór porzucił i osiadł na wsi oddając się swobodzie i przyjemnościom życia, do kraju zaczęła się wciskać reformacja, czyli jak je w ówczas nazywano, nowinki genewskie.

Rej ocknął się i zostawszy najgorliwszym protestantem, za namową współwyznawców został pisarzem, i odrazu stanął na wysokości przyznanéj mu dziś jeszcze, pomimo upływu trzech wieków. Wyłożył więc pomiędzy innemi postylę, katechizm w dyalogu, psałterz Dawidowy, pokazując się w nich wielce obczytanym pisarzem we wszystkich pismach Ojców swiętych obojga kościoła. Wywiązawszy się z tego obowiązku, porzucił zupełnie teologiczne rozprawy, i skierował się zupełnie w inną stronę, satyry i obyczajności.

Chwasty w ówczas siane ręką Bony, bujny plon obiecywały. Rej postanowił przyłożyć ręki i rwać je pełną garścią do samego korzenia, że zaś dla większego upowszechnienia pism swoich w teologicznych sporach, musiał pisać otwarcie, serdecznie choć czasem rubasznie a przedewszystkiem zrozumiale dla wszystkich, został więc nie pisarzem naukowym, ale z natchnienia filozofem praktycznym, pisarzem z natury, uważającym kształcenie rozsądku za pierwszy warunek oświecania się. Naturalna ta prostota acz-kolwiek nosząca znamie pewnéj surowości, podobała się i ujmowała wszystkich, mimo tego nie należy uważać Reja za szorstkiego rubachę, obudzającego wstręt i niesmak w pożyciu. Owszem przeciwnie, musiał to być człowiek niepospolitéj ogłady, skoro przestając najwięcéj z pospolitszym narodem, nader chętnie przyjmowany był na dworze Zygmunta i magnatów. Trzecieski w wierszu do Reja słusznie też powiada;

Rej bowiem jako mówią, ty sam u nas wodzisz
W naszym polskim języku ty sam przodkiem chodzisz.
Znają cie wszelkie stany i na pieczy mają,
Tak wielcy jako mali w tobie się kochają.

Skromny, niezarozumiały, znając całą godność nauki a czując jak jéj mało posiada, na żadnéj ze swych prac nie kładł nazwiska. Pisał bo musiał ulegać napływowi myśli cisnących się gwałtem do życia, do jawności:— drukował zaś głównie z namowy przyjaciół, zadziwiając ich głębokością myśli i wzniosłością duszy.

Nie przechodząc koleją wszystkich prac tego pisarza, obszerniéj zastanowiemy się nad najznakomitszym utworem, który imieniowi jego nie da zaginąć w najpóźniejszych czasach. Tem arcydziełem jest Zwierciadło albo żywot poczciwego człowieka, napisanem wtenczas, gdy był już dojrzały myślą, człowiekiem żyjącym w statku i powadze, gdy pojął jak powiada, że i przyrodzenie i cnota poczciwa nie ścierpi milczeć gdy o prawdę chodzi.

W dziele tem wyszłem na dwa lata przed śmiercią, Rej maluje wszystko począwszy od Boga aż do najdrobniejszych szczegółów życia, ucząc jak postępować należy chcąc być zacnym i uczciwym. W owym czasie rozwijającym pragnienie wyższéj oświaty, starano się wszelkiemi sposobami ułatwić jéj nabycie, i w tym celu w dostępnéj o ile być może formie, w dyalogach, w pogadance wykładano filozofją starożytną, zastosowaną do powinności obywatelskich w połączeniu z kwestjami religijnemi i politycznemi. Rej dla swéj społeczności chciał wygotować podobne dzieło, ale że naukowość jego nie była gruntowną, i składała się z różnych wiadomości bez przewodnika i systematu nabytych, z tego powodu w pracy téj był więcéj samym sobą, i dawał w niéj obraz każdego przedmiotu według własnego pojęcia. Że zaś pojęcie to głównie wyrabiało się na miejscowym gruncie, według obyczaju i potrzeb miejscowych, z tąd taka oryginalność w myślach i wyrażaniu się, jędrność, malowniczość stawiające go na czele wszystkich ówczesnych pisarzy. Pisząc jedynie dla ludzi stanu swego, i w życiu i w piórze typ jego stanowi zachowując wszystkie wady i przymioty. Wesoły, rubaszny, do tańca piosnki, a nade-

wszystko do żartu i gawędki, pełen poświęcenia w każdym razie, serdeczy, przyjacielski bez pychy i próżności, ochotny do pióra, nigdy korda nie dobył chyba dla zgody i rozłączenia poważnionych. Pod tym względem był zapewne jedynym w ówczasowéj społeczności.

Pogadanka Tygodniowa

Do jednego z naszych pierwszorzędnych malarzy, zgłosił się przed kilku laty, jakiś bardzo przyzwoitéj powierzchowności mężczyzna, z żądaniem namalowania dziesięciu portretów familijnych.

— I owszem — odrzekł artysta — ale radbym wiedzieć, czy to będą mężczyźni czy kobiety, czy.....

— Wszystko mężczyźni, ludzie starzy, wąsaci, w dawnych strojach przy.....

— Jakto? — przerwał zdziwiony artysta — to cała pańska rodzina nie zna fraków i tużurków?

— Owszem, inaczéj nie chodziemy, tylko według obyczaju i mody dzisiejszéj, ale przodkowie moi pozwolisz pan że w tużurkach chodzić nie mogli.

— Nic nie rozumiem — odrzekł artysta rzucając badawcze na gościa spojrzenie — co za łączność mają przodkowie pańscy z mającemi się malować portretami.

Gość uśmiechnął się, podumał troszkę, przeszedł się w milczeniu po pracowni, i zatrzymując się przed portretem z połowy zeszłego wieku, przedstawiającym jakiegoś staréj daty mężczyznę ze wszystkiemi do tego należącemi szczegółami, rzekł:

— Otóż zrobisz mi pan, jeżeli łaska, dziesięć podobnych portretów, tylko w naturalnéj postawie. Jedne mogą być w całości z nogami, drugie po pas, zostawiam to zupełnie pańskiemu uznaniu. Każdy jednak musi przedstawiać cechy swojego czasu. Najmłodszy będzie z epoki Stanisławowskiéj, potem pójdą coraz starsze sięgając przynajmniéj panowania Zygmunta trzeciego.

— Nie rozumiem — odrzekł artysta — racz mi pan wskazać przeznaczenie tych portretów, a prędzéj może się porozumiemy.

— Robota nie będzie mozolna — odparł gość kręcąc wąsem — bo mi zupełnie nie idzie o piękność pędz a i delikatność rysunku. Owszem przeciwnie, malowidło może a nawet powinno być dosyć grube, czasem nawet troszkę chybne w rysunku, bo to nada cechę starożytności. Nie idzie mi więc o pędzel tylko o wierne naśladownictwo starych portretów, a szczególniéj o szczegóły w ubiorach mających się przedstawić osób, aby największy znawca nie mógł zrobić najmniejszego zarzutu względem ich autentyczności. Przytem jako przedstawiające ojców, synów i braci muszą posiadać rodzinne do siebie podobieństwo, wszystkie zaś.....

— Ale jakie ich ma być przeznaczenie? przerwał malarz, a gość uśmiechnął się i mówił w dalszym ciągu:

— Wszystkie zaś po troszku po odrobince powinny mnie przypominać.

— Więc to mają być idealne portrety?

— Troszkę tak, troszkę nie, bo ja będę panu służył za model. Najprzód mnie odmalujesz, tak naprędce dla pamięci, a potem w każdy portret tu wpakujesz nos, tam czoło, tu chlaśniesz oczy tam brodę, tu palniesz brwi tam policzki, a tym sposobem warunkowi podobieństwa rodzinnego najzupełniéj odpowiesz.

— Zapewne — odrzekł malarz uśmiechając się — wpakować, palnąć i chlasnąć, bardzo łatwo, ale nie mogę się jeszcze domyślić właściwego celu tych portretów, a bez tego trudno będzie....

— A co? — nie doskonale rzecz obmyślana? przerwał gość także ze śmiechem, widocznie unikając dokładnéj na zapytanie odpowiedzi. Przy każdym portrecie nie zapomnij pan na dole pomieścić i herbu, osoby zaś ustrój w pancerze, w buzdygany, w karabele. Przy jednych położ księgi na stole, przy drugich hełmy z pióropuszami, płótna daj stare poczernione, zakurzone, gdzieniegdzie pomieść plamkę z wilgoci, jakieś małe uszkodzenie, słowem daj wszystkie cechy starości, jakie spostrzedz można na portretach wydobytych z pośród starych gratów, zaniedbanych, przeznaczonych na ostateczną ruinę. Za każdy dam...

— Więc mają stanowić galerją — zapytał malarz — przodków pańskich począwszy od prapradziada?

— Otóż to właśnie, otóż to — odrzekł gość z uciechą zacierając ręce — zawieszę je w jadalnym pokoju a w takiem towarzystwie przyznasz pan, że miło będzie przy smacznym objadku spełnić puchar starego węgrzyna.

— Zepewne, odrzekł artysta zmuszając się do powagi aby nie parsknąć głośnym śmiechem — będzie to pierwsza praca moja podobnego rodzaju.

— Więc pan pojmujesz czego pragnę?

— Najzupełniéj.

— I dokonasz jéj według mego życzenia?

— Postaram się. Jednak...

— Za każdy portret dam po dziesięć rubelków.

— Muszę jednak...

— Dam po pietnaście — przerwał gość widocznie zapalając się, a zobaczywszy pewne w artyście wachanie się, rzekł z pośpiechem — dam po dwadzieścia i do wszystkich dołożę faskę masła i faskę po–

wideł, zamawiam tylko poprawki i.... sekret. Niech pan pamięta że portrety masz dane do odnowienia i restauracji. Rozmowę tę znajdując się przypadkiem w sąsiednim zaraz pokoiku, mimowoli wysłuchałem. Uśmieliśmy się doskonale. I tak zeszło lat kilka, gdy wypadkiem zupełnie niespodziewanym, znalazłem się nie dawno w domu zamożnego człowieka, który pracą sumienną, troszkę sprytem a troszkę szczęściem, dorobił się znakomitego majątku. Już to nauce widocznie nigdy naprzykrzenia nie robił, ale był mowny jak kwoka wodząca pisklęta, bufidziuczny jak bachus w tuzie żołędnym, czasem napuszony jak jendor gulgoczący, a zawsze pewny siebie, swego worka, własnéj godności i stosunków. Dom cały uginał się pod ciężarem przepychu i drogocennych fraszek, ale na każdym przedmiocie znać było niedbalstwo i opuszczenie. Na posadzkach żółciły się płowe plamy z różnych rozlanych cieczy: adamaszkowym firankom brakło tu frędzla tam węzła: jedwabne z ciężkiéj materji kołdry, miały powypalane dziury od cygara jak talary: meblom brakowało kawałków fornirów, w wysłaniach sterczały sprężyny, fraszki były poobtłukiwane, nogi u stołów poobgryzane, lustra popstrzone, szkła w lampach poszczerbione, fortepjan rozstrojony, a w szafeczce bibljotecznéj prawie żadnéj książki całéj i posiadającéj wszystkie tomy. Gospodarz oprowadzał mnie wszędzie, rad widocznie pochwalić się z otaczającym go przepychem.

— Szkoda — mówił do mnie — że pan przed rokiem nie nawidziłeś mojéj chałupki. Wszystko było nowe i iskrzyło się jak w mróz tęgi gwiazdy na niebie. Ale przy dzieciakach, psiakach, kotach, nic się długo nie utrzyma, dzieci tłuką i dłubią, psiaki drą i gryzą, koty drapią i zrzucają i ot robi się jak w obozie. Ja także nie lubię dbałości, tu rozleję, tam rozedrę, tu obetrę, tam rzucę cygaro i wnet plama, tu dziura a tam szołdry. Ale to głupstwo! — zniszczy się jedno to będzie drugie, a trudno być w domu jak na wizycie. Przeglądasz pan bibljotekę, a jest ci ta tego bibuliska pełna fura. Kupiłem hurtem na jakiejś licytacji. Chciano zabrać na obwijanie sklepowe ale postąpiłem na dwadzieścia rubli i kupiłem. Połowę co lepsze było kazałem oprawić, reszta leży na górze.

Do snu zawsze z kupy tych papierzysków, biorę tyle co mi w rękę się zmieści. Przy czytaniu w łóżku, czasem kartkę udrę przez zapomnienie, czasem usnę, ręka z czytaniem pójdzie ku świecy, i spali się, czasem mi dzieci porwą albo psy podrą przy zabawce. zawsze jednak bez książki obejść się nieumiałbym. W jadalni mam galerją z samych przodków złożoną, autentyki nieoszacowane, a jakie postacie, jaka starożytność!

W téj chwili nie wiem dlaczego, ale przypomniałem sobie podsłuchaną scenę u malarza. Głos nawet wydał mi się znajomym.

— Patrz mówił daléj gospodarz wprowadzając mnie do jadalnego pokoju—jaka prześliczna kollekcja. Znalazłem je zniszczone, zakurzone, podarte i powygryzane, i patrz co z nich zrobiono. Ten marsowy to wsławił się podczas rokoszu Zebrzydowskiego. Pod Guzowem uratował życie Zygmuntowi i odtąd datuje się wzrost naszego rodu. Obok niego widzisz syna sławnego z naki i rokowań poselskich, trzeci Władysława czwartego namawiał na wojnę, przeciw Porcie. Czwarty najwięcéj się przyczynił do wyniesienia na tron Wiśniowieckiego — piąty pod Wiedniem poległ a żona przeszła w dom Tarłów bo jeszcze była młoda i bezdzietna. Szósty miał być księdzem, był nawet w Jerozolimie i dla tego widzisz krzyż na nim zawieszony. Ale po powrocie zakochał się i ożenił i znowu gwałtem chciał mnichem zostać. Siódmy ciągle się kręcił między Sasem i Lasem i o mało go Sascy nie powiesili a królewscy nie rozsiekali. Ósmy także za Sasa, jak widzisz popuszczał pasa, a do Węgier corocznie jeździł po wino. Dziewiąty i dziesiąty to poczciwości, włóczyli się i bojowali za Stanisława. Mam więc nawet czem pochwalić się a w zmartwieniu tylko samem patrzeniem na te, portreta co krzepię się i pocieszam. Dlatego możesz sobie wyobrazić, jak jestem pogniewany na mego syna, który zapominając o całym swym rodzie, o godnościach przodków, o swem szlachectwie, gwałtem chce się żenić z jakąś tam szynkarczanką handlująca pieprzem i imbirem.

Spojrzałem na gospodarza, sądząc że żartuje, bo wiedziałem że głównie dorobił się na handlu wieprzami i okowitą. Twarz miał surową, rozgniewaną osmutnioną, nawet wzdychał, więc i ja westchnąłem.

— Smuci cię to widocznie — odezwał się po chwili — jakże ja ojciec nie mam się smucić i do tego w obec tych postacią taką świetnością ród mój otaczających. Patrz jakie w nich podobieństwo ze mną i z moim synem — te same oczy, nos, czoło, spojrzenie, gdyby mi za nie dano sto tysięcy, to bym odrzucił.

Rzeczywiście podobieństwo było wielkie, talent malarza potrafił uchwycić niektóre tylko szczegóły a reszcie nadać takie cechy, że choć z niemi najwyborniéj harmonizowały, jednak tworzyły zupełnie oddzielne postacie. Zdumiony zręcznością artysty, bo pochodzenie ich nie ulegało najmniejszéj wątpliwości, zagapiwszy się, zapytałem niezręcznie:

— A ile też cię kosztują?

Gospodarz zmięszał się, ale nie tracąc przytomności odrzekł:

— Chcesz wiedzieć ile mnie odnowienie ich kosztowało? O! mój drogi, kupę, kupę pieniędzy. Ale nie żałuję, w podobnych wypadkach oszczędnym być nie można.

Na tem skończyły się moje odwiedziny. Pycha ludzka wystąpiła tu w całéj swéj prawdzie, połączona z największym nierozumem. Człowiek ten wstydził się poczciwéj pracy, a chwalił kłamstwem, a czy sądzicie że to pierwszy i ostatni?

O UBIORACH.

Korespondencja z Paryża.

Zdarzyło nam się w tych czasach widzieć kilka pełnych gustu ubrań ślubnych: opiszemy je w dzisiejszem sprawozdaniu, chociaż Adwent niezadługo się rozpocznie ale za to karnawał bliski, owa najwłaściwsza pora dla weselnych uroczystości. Wiadomo powszechnie że Paryżanki ubierają się nadzwyczaj skromnie do ślubu. Suknia wprawdzie bywa niekiedy zrobiona z kosztownéj materji, nigdy jednak nie bywa przeciążona ozdobami, i na pozór skromnie wygląda. Suknie ślubne noszą tu zwykle pod szyję a przy tem bardzo powłóczyste.

Najskromniejsza z sukien jakieśmy widzieli, nie mniéj jednakże gustowna, była biała alpagowa, krajana w kliny, ubrana frendzlą angorową białą. Frendzla ta z tyłu naszyta była nisko nad obrębem, po bokach zaś zwracała się do przodu rysując jakby schodki w odstępach.



Stanik gładki spięty na szmuklerskie guziki, naszyty był w kwadrat frendzlą angorową która tworzyła jakby karczek. Rękawy stosownie przybrane były frendzlą, na epoletach i u ręki. Ztyłu sukni spadały szarfy z alpagi zakończone u dołu frendzlą angorową. Na zarzucenie służyła rotonda z alpagi, ze stosownym garnirunkiem. Na głowę do tego zamiast welonu, przygotowany był kapelusik w formie katalanki, biały z koronki kluni przystrojony kwiatem pomarańczowym.

Druga suknia ślubna biała muślinowa krajana w kliny, miała przód zakończony u dołu wolantem muszlinowym, układanym w fałdy na jedną stronę. Nad wolantem szły trzy rusze muszlinowe, obszyte wązko koroneczką *Cluny*. Tył sukni gładki, powłóczysty, zaokrąglony po bokach, obszyty był ruszą przechodzącą z obu stron w górę aż do pasa. Stanik pod szyję marszczony, ubrany był ruszą, przechodzącą przez ramiona nakształt szelek, przepasany muszlinowym paskiem z takąż rozetką. Rękawy wązkie miały ruszę u ręki, kołnierzyczek *Cluny* z małemi różkami ładnie odpowiadał całości. Ubranie głowy składało się z welonu illuzjowego, i małego wianka z konwalji i pomarańczowego kwiatu, spadającego na czoło pomiędzy nioby.

Trzecia i najstrojniejsza z owych sukien ślubnych biała *poult de soie*, długa, krajana ukośno, bez żadnego garnirunku, miała boki podpięte. Z pod tego widać było falbanę od spódniczki białą jedwabną, układaną w jednę stronę. Na podpięciach z obu stron szły rozety zwane *piewry*. Stanik pod szyję gładki, spinał się na guziki szmuklerskie białe.

Główną ozdobę jego stanowiły dwie *piewry* na ramionach, od tych spadały długie wstążki przepięte nisko w tyle spódnicy takąż samą *piewrą*.

Welon illuzjowy na głowę, przybrany był na środku *piewrą* ułożoną z konwalji, któréj delikatne gałązki rozchodziły się wkoło.

Powiedzmy teraz słówko o ubraniach dla dzieci. Sukienki dla dziewczynek kroją w kliny. Spódniczka często bywa podwójna, jedna w żywym kolorze pąsowym lub jasno szafirowym, druga zaś popielata, albo szara, naszyta pletnią, wstążką lub aksamitką. Opiszemy tu szczegółowo kilka ubrań dla dzieci które nam się podobały.

Ubranie dwunastoletniéj dziewczynki. Sukienka pąsowa z lekkiego tybetu, zakończona u dołu wolancikiem, układanym na jedną stronę. Stanik takiż sam gładki z długiemi rękawami przybrany wodą na spięciu i u ręki. Na wierzch *peplum* z popielatéj popeliny w czarne paski. Jest to rodzaj obcisłego kaftanika, mocno wyciętego z ramiączkami bez rękawów, po bokach spadają długie roztwarte zęby, przód i tył podcięty znacznie w górę.

Ubranie ośmioletniéj dziewczynki. Sukienka popelinowa jasno szafirowa. Nad obrębem wstawka kluni naszyta w zęby. Staniczek do gorsu wykrojony czworograniasto z bertą w zęby, obszyte koroneczką kluny, rękawki krótkie złożone z samych zębów. Pod spód koszulka muszlinowa z długiemi rękawami.

Ubranie sześcioletniéj dziewczynki. Spódniczka popielata wycięta u dołu w zęby, objęte pliską szafirową. Na to krótka spódniczka szafirowa w kliny zakończona też w zęby, obszyte torsadkę czarną z białem; torsadka ta przechodzi w odstępach przez spódniczkę, i sięga do samego pasa. Staniczek wycięty czworograniasto z ramiączkami bez rękawów, pod spód koszulka biała.

Paletociki watowane dla dziewczynek, robią w formie peplum z zębami spadającemi po bokach, lub też równe u dołu obcisłe w stanie. Wiele widzieliśmy naszytych w rzucik pacioreczkami, między innemi ładny był popielaty tybetowy, obszyty wstążką niebieską, zasiany paciorkami białemi z porcelany. Paletociki pąsowe tybetowe naszywają drobną sieczką lawową.

Ubranie siedmioletniego chłopczyka. Majtki szerokie bufowane z popielatéj popeliny, przybrane z boku drabinką z czarnéj aksamitki i białemi perłowemi guzikami. Na to krótka żakietka naszyta z przodu w drabinkę takąż aksamitką, przepasana czarnym pasem, kamasze brązowe.

Ubranie dziesięcioletniego chłopca: Spencerek

sukienny z koloru stalowego, obszyty czarną torsadką, takież majtki z podwójnym lampasikiem czarnym zwężone u nogi, dosyć krótkie. Kamizeleczka także sama albo biała pikowa. Buciki węgierskie.

S. D.

Nowości zagraniczne.

Le Moniteur de la Mode. Ciężkie materje są najwięcéj używane na suknie w obecnéj porze, przypadają one doskonale do kroju w kliny, mało fałdowane u góry. Brokatele, starożytne mory i broszowane atłasy, widzieć się dają ciągle na ubraniach wieczornych. Niektóre suknie bywają we dwóch kolorach n. p. krótka spódnica czarna na powłóczystéj fijołkowej ze stanikiem fijołkowym, lub orzechowa ciemna na jaśniejszéj tegoż koloru z jaśniejszym również stanikiem *peplum*. Do każdego wykwintniejszego stroju niezbędne są piękne koronki, to też panie które je posiadają przechowują je prawie tak starannie jak klejnoty. Lawa i perełki do przesady prawie pokrywają nie tylko suknie i kapelusze ale nawet okrycia, zdaje się jednak że przy nadchodzącym karnawale u sukien zwłaszcza ustąpią miejsca kwiatom. Widzieliśmy białą morową suknię przeznaczoną dla pięknéj i bogatéj cudzoziemki, która strojna była w wieńce z bławatków o dyjamentowych środkach. Podobnyż wieniec miał zdobić włosy.

Les Modes Parisiennes. Fabryki kwiatów przyspasabiają obecnie oprócz wieńców do podpinania tuniki balowych sukien, śliczne ubiorki na głowę w kształcie katalanek lub okrągłych deneczek z samych kwiatów. Końce spadające na ramiona tworzą u nich wieńce lub szerokie aksamitki. Katalanka z liści różanego krzewu podpięta z boku jedną różą, miała końce z pączków różanych. Druga na zielonéj aksamitnéj podstawie utworzona była z białych stokrotkek, od których spadały aksamitne zielone końce. Inna znów cała z niezapominajek miała tylko jedną różę w pośrodku. Zarzutki zwane *comtessina* najwięcéj widzieć się dają u wyjścia z balu lub teatru; są one w kształcie szala oszytego złotym galonem, po nad którym idzie jeszcze wązka czarna aksamitka, naszywana złotemi perełkami. Suknie okładane futrem bardzo będą modne téj zimy, jako ubranie wizytowe. Widzieliśmy w podobnym rodzaju aksamitną amarantową. Plisa u dołu obłożona była szenszyllą z kaftanikiem bez rękawów obłożonym podobnież. Kilka ciemnych sukien z niestrzyżonego aksamitu (velours epinglé) miały obłożenie z czarnych piór strusich, co również bardzo ładnie wyglądało. Buciki były wtych kolorach co suknie i również futrem lub drobnemi piórkami przystrojone. Suknie popelinowe okładają zwykle szerokiemi pasami *poult de soie* odmiennego koloru. Do sukien jasnych jedwabnych przygotowano tuniki czarne i białe koronkowe: mówią że nosić je będą zarówno na wieczory jak na zebrania obiadowe.

Petit Courier des Dames. Duże krynoliny już tedy porzucono stanowczo, lubo niemożna zaręczyć czy znów nie powrócą kiedy. Suknie balowe téj zimy będą bardzo świetne z powodu bezustannie wymyślanych coraz nowych dodatków do ich przybrania. Przytaczamy suknię z błękitnego tiulu która cała zasiana była kryształowemi łzami. Tunikę miała podpiętą georginją białą pokrytą szronem, takiż kwiat umieszczony być miał we włosach. Suknie do codziennego użytku okładają czarnym barankiem albo wałkami z mory lub atłasu odmiennego koloru. Do wielkiego stroju jak n. p. na obrzęd ślubu, najmodniejsze obecnie koronkowe okrycia w miejscu aksamitnych lub futrzanych zarzutek. Strój przygotowany na podobną uroczystość dla młodéj i ładnéj blondynki, składał się z sukni zielonéj morowéj pod szyję z długim ogonem, z okrywki czarnéj koronkowéj i takiegoż kapelusika *à la Marie Stuart* podpiętego jedną różą.

Opis ryciny.

Figura pierwsza. Suknia jasno szafirowa *poult de soie* krajana w kliny przedłużona z tyłu. Paletocik bardzo krótki bez wcięcia, obszyty szeroką koronką *Cluny*. Kołnierzyk i mankietki z takiejże saméj koronki. Kapelusz katalanka obszyty w koło koronką. Spódnica na spód biała z szerokiem wolantem karbowanym.

Ubranie drugie. Suknia popielata popelinowa do ziemi, u dołu objęta sznurem koloru złotego i czarnego. Przód spięty na takież szmuklerskie guziki. Paletocik krótki bez wcięcia, przybrany odpowiednią pletnią i guzikami. Mankiety webowe; u szyi wązka fryzka karbowana.

KORRESPONDENCJA.

Pani Ludwice Bonie. Biała serweta do kawy czysto niciana w adamaszkowy deseń zakończona białą frendzlą kosztuje od 12 rs do 15 rs. Szamoa z białem od 5 do 9 rs. Szara niewarowa od 4 do 13 rs. Pąsowa z tureckiéj przędzy 5 rs. Serwetki odpowiednie do serwet wynoszą od rs 4 do 12 za tuzin.

Serweta do kawy wyrabiana z nici i jedwabiu w kolorach: szamoa, solferino i żółtym kosztuje od 15 do 18 rs. Wielkość wynosi łokci 3 w kwadrat. Odpowiednie serwetki wypadają na rs 14 tuzin.

Pani Konstancji Krzy: i pani Karolinie Du: kolczyk i broszka z kwiatów kosztuje rs 3. Cena jest jednakowa czy to z niezapominajek, różyczek, pelargonij albo bratków. Kok złożony z loków rs 6. Grzebień szyldkretowy z ławeczką ruchomą od 5 do 6 rs. Pani Ewelinie J. aksamit odebraliśmy. Prosiemy o adres dokładny, bo inaczéj poczta przesyłki nieprzyjmie.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nr. 48 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 19 Listopada (1 Grudnia) 1866 r.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

Da cosa nasce cosa.

Część pierwsza.

I.

C'était une bien belle résidence!

Po śmierci pana Tadeusza Świętoborskiego, zostały się wielkie dobra, Jodłowiec: dwanaście wiosek, dwa miasteczka, osady, cukrownia, cegielnie, lasy ogromne, rybne jeziora i stawy, bez długów żadnych. A jeszcze i znaczna gotówka, i wielkie wszystkiego zapasy.

Dziedziczką tego majątku była jedyna po nim córeczka, sześcioletnia Janina, — majątku, ocenionego na 18 milionów złotych polskich.

Pani Świętoborska tylko o półtora roku męża przeżyła, i mała dziedziczka Jodłowca bogata, a sierotka biedna dostała się całkiem pod opiekę wuja swojego, pana Karola Gromontowskiego.

Państwo Gromontowscy zastąpili jéj sumiennie utraconych rodziców, bo on i ona z prawości słynęli, a małą sierotkę ukochali serdecznie. Lecz mogąż i najlepsi krewni zastąpić przywiązanie ojca i tkliwą czułość matki?! To też młodziutkiéj dziedziczce nie dostawało tego dobra wielkiego, tego najwyższego na ziemi szczęścia, a raczéj, najczęściéj i podstawy do szczęścia na całe życie przyszłe.

Janina chowała się w domu wuja, jakoby klejnocik. Miała po dwie, trzy guwernantki od razu, i po dwóch jeszcze nauczycieli. A przez dwa lata, na dokończenie wykształcenia, zamieszkała z nią pani Gromontowska w Dreznie. Panna odebrała wychowanie jak najwykwintniejsze: posiadała wiadomości wiele, mówiła pięciu językami, grała dobrze na fortepianie, śpiewała ślicznie, malowała ładnie, tańczyła z gracyą nieporównaną, i znała wszelkie roboty rąk niewieścich. I winniśmy oddać tę sprawiedliwość jéj wujence, że ją wychowała, jak kobieta każda wychowaną być winna: nie do salonu tylko, ale i dla domu. Bo i komuż wiadomo, jakim w życiu podpadnie losom?... A wtedy błogosławieństwem się staje prawdziwém, gdy i bogata przy urodzeniu dziedziczka, na chleb powszedni sobie zapracować potrafi.

Janina wiele miała zalet, serce nieokreślonéj dobroci i najpiękniejsze popędy duszy; zdolność wielką i pojęcia wyższe. To też słabość i dobrowolność ciotki, wyrodziły w niéj pewną samodzielność, własną wolę, że nie tylko wpływ jéj był wszędzie przeważnym, ale i po większéj części panią Gromontowską rządziła, czego tamta nawet i nie dostrzegła bynajmniéj. Bo Janina miała tyle nieporównanego wdzięku, łagodności i słodyczy, że wujenka na wszystko pozwalała z uśmiechem.

Nauczycielką przy Janinie, któréj głównie wykształcenie serca zawdzięczała swojego, jako też i pokierowanie umysłu, była pani Siewońska, wdowa po wyższym urzędniku i literacie. Miała także córeczkę w Janiny wieku, Julją, która zarówno z małą wychowała się dziedziczką. Janina przylgnęła do nich całą duszą, i zażądała, by pozostały się przy niéj na zawsze. Dziedziczce Jodłowca niczego nie odmówiono, a nadto państwo Gromontowscy kochali i szanowali panią Siewońską, uznając jéj wpływ zbawienny na siostrzankę.

Pani Siewońska była wszelako także aż nadto podległą dzieweczce, i w niczém nie potrafiła téj jéj *wolnéj woli*, a niekiedy i wcale dziwacznych skrócić zachcianek. Późniéj, w dorastającéj pannie, owe zachcianki dziwaczne ustały całkiem, ale wyrobiła się silniejsza jeszcze wola samoistna, a niekiedy i jakieś zupełnie odrębne wyobrażenia, bo Janina myślała, przemyśliwała, rozważała, zastanawiała się, patrzała na świat, badała go niby, lecz go nie znała, i znać jeszcze nie mogła, chyba.... przez *intuicją*.

W Dreznie, pani Gromontowska mało gdzie bywała, i niewiele osób u siebie przyjmowała: nie chciała młodego dziewczęcia tak wcześnie wprowadzać w świat rozrywek, elegancji, bawidełek niepotrzebnych, towarzyskich uroków, co jéj i pani Siewońska pochwalała wielce. Najprzyjemniejsze ich rozrywki były: zwiedzanie *Grüne Gewölbe*, *Galerji* i tego wszystkiego, w co saska obfituje stolica, a wreszcie koncerta i opera. Były to rozrywki które kształciły dziewczynkę, i rozwijały jéj umysł pochwytny a zdolny. Wszędzie towarzyszyła jéj Julka kochana. W lecie robiły wycieczki w piękną okolicę: zwiedzały saską Szwajcarją i Pragę.

Państwo Gromontowscy mieszkali o mil parę od Krakowa. Janina więc często i w starym bywała grodzie, i biegała do Marjackiego kościoła, na

Wawel. Znała wszystkie kościoły, wszystkie kamienice, mające historyczne wspomnienia i niemal każdy starożytny kamyczek. W towarzystwa jeszcze wszelako nie uczęszczała.

Za powrotem z Drezna, właśnie gdy pierwszą zimę mieli w Krakowie przepędzić, umarła matka pani Gromontowskiéj, więc pozostali się w Złocinie. W rok niespełna po téj stracie bolesnéj, utraciła ojca i nowa znowu a dotkliwa przytrzymała ich na wsi żałoba. Janina nie żałowała, że pozbawioną została balów i wystąpień światowych w ciągu tych dwóch zim, bo nie znała jeszcze tych uroków czarujących każdą młodą dziewczynę, więc i nie goniła za niemi A może też i przeświadczenie, że była w posiadaniu jakoby różczki czarnoksięskiéj, na któréj skinienie przydążało wszystko, nie dało jéj niczego zbyt gorąco zapragnąć. Bo zwykliśmy wzdychać za tém, czego nie mamy, i mieć nie możemy. Taką jest natura ludzka.

Jodłowiec leżał o trzy mile od Złocina, a dojeżdżało się koleją, bo i z jednego i z drugiego miejsca było tylko pół mili drogi do Dworca kolei żelaznéj.

Oparta na swojém uczuciu niezawisłości, oświadczyła Janina chęć, zamieszkania w dziedzictwie swojém pod opieką pani Siewońskiéj. Pan Gromontowski bynajmniéj nie sprzeciwił się temu. Wujence żal trochę było, że siostrzanki już teraz nie będzie miała ciągle przy sobie, lecz pocieszała ją myśl widywania się częstego. Janina też nieraz po pare tygodni z niemi bawiła.

Pałac w Jodłowcu był piękny i obszerny a urządzone dla Janiny pokoje ze smakiem wykwintnym i *comfort*'em najwyższym. Park w rodzaju angielskim, ciągnął się rozlegle, był obfity w stare a piękne drzewa, w roskoszne trawniki i bogaty we wszystko.

Przed wystawą pałacu, wspartą na ozdobnych filarach, rozpościerała się istna świątynia Flory, tyle tam prześlicznych nęciło kwiatów. Mianowicie też zwracały uwagę dwa aloesy, rzadkiéj wielkości.

W przedsionku były lustra wmurowane; we framugach niby w grotach stały różne boginie i bożkowie. I otworzył się szereg wytwornie przybranych pokoi. Pomiędzy temi był salon długi rodzinnemi zawieszony portretami, a obok drugi, jasny, którego ściany zdobiły piękne obrazy mistrzów naszych.

Przejdźmy wszelako przez te wszystkie pokoje, a zatrzymajmy się na chwilę w ślicznym *buduarze*, jako w istotnéj *rezydencji* młodéj dziedziczki tych bogactw i *splendorów*.

Pomiędzy dwoma filarami marmurowemi, drzwi szklanne na obszerną wychodzą *werandę*, okrążającą pałac w kilku załomach, a ztamtąd na taras i ogród. Widok z galerji jako i z okien jest cudny, odsłonięty szeroko wśród drzew niebotycznych: na tarasy, spuszczające się aż na brzeg modrego jeziora, a poza tém, na rozłożone, na wysokiem, zielonem wybrzeżu ładne miasteczko. Na lewo widać duży kościół murowany, na prawo ponad jeziorem, przegląda malowniczo młyn wodny.

W samym buduarze, przy ścianach stukowanych, bielutkich, na meblach palisandrowych, wdzięcznie odbija materja różowa srebrem przetykana, takież portjery i lambrekiny na białych firankach. Kozetki i foteliki są zgrabniutkie. Konsolki i etażerki mnóstwem zastawione cacek niby małe muzeum. Na marmurowych płytach stolików leżą ozdobne album'y, keepsaek'i. Dwa wielkie zwierciadła, przepiękne alabastrowe wazony z kwiatami; na porfirowych kolumnach popiersia marmurowe znakomitych mężów, ozdobny pająk i kinkiety, dodają blasku całości.

Wchodzimy do drugiego pokoju. Obicie także jest białe, ale matowe, z arabeskami w różnych kolorach. Meble nieco dziwnego są kształtu, a na nich tkanka w rodzaju perskim, i takież portjery, dywany bogate, wzorzyste; firanki biało-mgliste, gładkie a przy nich drugie koloru złotego. Piękna pisarka różnościami zastawiona; na stoliku przed kanapą koszyczek z robotą i książki dowodzą, że pani domu tutaj przebywa najczęściéj.

I tutaj mnóstwo napotykamy cacek. Szczególniéj zwracają uwagę : zegar przez gruppę chińczyków trzymany; przy wielkiem stojącem zwierciadle duże wazony w rodzaju etruskich i podobna lampa od sufitu opuszczona. Portjera podniesiona odsłania długą salkę, zastawioną szeregiem szaf z książkami stanowiącemi biblioteczkę w liczne dzieła bogatą.

Janina kończyła już rok dwudziesty, a mało w świecie dotąd znaną jeszcze była. Wiedziano wszelako o bogatéj dziedziczce Jodłowca i niejeden kawaler wzdychał w skrytości do jéj miljonów, i niejedna mama modliła się do Pana wszechświatów, by jéj synalek tę nową pozyskał Golkondę.

Panna, przez domyślność własną, a ciągle powtarzanemi frazesami: *dziedziczka Jodłowca, wielka partja*, cierpko nieraz dotknięta; w poczuciu wyższości swojéj i głośniéjszych może niekiedy i nieco tęsknych uderzeń serca, jak to w dziewiczéj bywa wiośnie, bolała nawet i nieraz nad tém: że jest bogatą dziedziczką i wiarę piękną, młodą, uroczą, poetyczną, i w młodéj wykochaną duszy, coraz więcéj traciła z żalem i goryczą. Inna byłaby raczéj szczęśliwą z bogactw swoich i błyskotnych widoków w przyszłości, Janina myślała i myśleć umiała. Była żywego usposobienia i z natury wesoła, ale czuła i bolała, że nie ma ojca ni matki i jakkolwiek pod życzliwą zostająca opieką, miała wszelako bolesną świadomość sieroctwa. Bo i kogoż ono nie zaboli, ktokolwiek tym smutnym został dotknięty losem? Sieroctwo pewnie, tylko ziemi jest niedolą i bólem.

Pani Gromontowskiéj, cierpiącéj po swoich smutkach, z powodu dwóch strat dotkliwych, zalecili lekarze wody w *Gastein*, i Janina ofiarowała jéj się za towarzyszkę. Miała ona poprzednio zamiar pojechania z panią Siewońską i Julją do Reinertz, bo lękano się by Julja piersiowéj nie popadła słabości,czuła się jednak w obowiązku towarzyszenia Wujence, tyle do niéj przywiązanéj i życzliwéj. Pani Siewońska przeto tylko sama pojechała z córką, otrzymawszy od młodéj dziedziczki znaczny na tę podróż fundusz.

W *Gastein*, pani Gromontowska z Janiną nikogo nie zastały z Polaków, ale podobno nie byłyby się wiele udzielały towarzystwu, z powodu niezdrowia saméj pani Gromontowskiéj. Przejeżdżały się tylko po pięknéj okolicy, Janina przytem rysowała wiele zdejmując ładne widoki; czytała dużo czasami głośno Wujence, siedząc w ogródku przy ich mieszkaniu; grywała bo zaraz postarała się o fortepian, i bynajmniéj nie narzekała na nudy. Janina nudzić się

nie umiała, tęskniła tylko za panią Siewońską i Juleczką swoją, lecz pisywały często do siebie. Julji kuracja w Reinertz posłużyła jak najzupełniéj, i jak się wyraziła matka, nowém zakwitła życiem.

Pani Siewońska wcześniéj do Jodłowca z Julją wróciła. Janinę dopiero we dwa tygodnie późniéj, pani Gromontowska odwiozła.

Tyle do niéj przywiązane i czytające w każdym wyrazie jéj twarzy i spojrzeniu, dostrzegły pani Siewońska i Julja odrazu, że coś zaszło z Janiną: była niby zamyśloną i mniéj wesołą, ale nie śmiały jéj zapytać czekając aż im zwierzy się sama.

II

A wierz mi, waszmość, że to silna dusza,
Lice jéj tylko, głos, wzrok, to są iście
Kwiat *sensytywy*, lub osiny liście,
A serce w piersiach, jak arfa Eola.

Odyniec.

Było to w jednym z dni pięknych ku końcowi sierpnia, z rana, gdy nasza rozpoczyna się powieść.

Janina coś tam pisała i kreśliła w swojéj persowéj komnacie, potém nagle powstała i przeszła do buduaru; wyszła na werandę i wsparta o poręcz, wzrokiem i myślą w dalszéj utonęła przestrzeni. Młoda postać wdzięcznie w téj przedstawiła się pozie, wyższa nad wzrost średni, zręczna, giętka, wysmukła, z niewymuszoną poruszała się gracją. Rysy jéj dość drobne, kształtne, nie miały w prawdzie ścisłéj regularności typu greckiego, lecz były ładne i miłe, upięknione wyrazem szczególniéj łagodnym a zarazem ożywionym wielce. Oczy miała śliczne, wielkie i niemal czarne jakby z brylantowemi gwiazdkami, pełne ognia i słodyczy z bezdennem spojrzeniem, które wszystko wypowiedzieć umiały; usta rumiane, zęby bielutkie, nosek zgrabny, brew czarną, wyraziście narysowaną; płeć świeżą, nieco śniadawą, czoło dość wysokie, myślące, a włosy ciemne zupełnie; rączkę i nóżkę, jak u małéj dziewczynki. Miała dziś na sobie suknię białą kaszmirową, przyozdobioną materją lilla, i takąż szarfę szeroką, oszytą koronką; na zręcznie ułożonych włosach siatkę z czarnych pereł, z dyademem ponad czołem.

Młoda dziedziczka długą na galerji postała chwilę, potém wróciła do buduaru, podjęła jednę z książek ze stolika i porzuciła ją znowu; przebiegła pokój perski i weszła do sypialni niby całéj w biały muślin udrapowanéj: długi parawan zaciągnięty muślinem, zasłaniał łóżeczko, ponad którem takiż rozkładał się pawilon; okna i gotowalnia w podobnym były obłoku; obicie naśladowało morę perłową; kanapę i fotele turkusowa pokrywała tkanka.

Janina zatrzymała się przez chwilę tylko, zajrzała do przyległych komnat, należących do pani Siewońskiéj, i wyszła do kobiecego pokoju.

— Czy panie Siewońskie są w ogrodzie? zapytała panien garderobnych.

— Tak pani, co tylko wyszły, odrzekła z nich jedna.

— Józiu przynieś mi kapelusz! A czy Szczepan już pojechał na kolej?

— Nie wiem, pani — odrzekła starsza garderobna, panna Iglińska.

— Och, to czas wielki!—zawołała, spojrzawszy na zegarek, jest już po jedenastéj, a pociąg o kwandrans na pierwszą stawa na dworcu.

Janinie zapowiedzieli się na dziś państwo Gromontowscy listem, który odebrała wczoraj.

Józia przyniosła kapelusz ryżowy okrągły, z białą wstążką szeroką.

— Powiedźcież Antoniemu, by jechali natychmiast—wymówiła młoda pani domu— i niechaj śniadanie mają gotowe.

Włożyła kapelusz na głowę i wyszła przez *werandę* do ogrodu. Przebiegła wśród kwietników, trawników i klombów a zobaczywszy dwie popielate sukienki: jednę ciemniejszą, drugą jasną i podobny do swojego kapelusz szybko w tamtą udała się stronę.

Pani Siewońska z córką zwróciły się ku niéj. Janina ujęła Julję pod rękę, a potém wszystkie trzy pospołu zwolna szły daléj.

Od pałacu dogonił je w téj chwili pokojowiec, oznajmiając: że kareta już przed kwandransem pojechała na kolej.

Julja nieco była niższa od Janiny, szczuplejsza, i nie tak świeża, rysy miała regularniejsze, oczy siwe, piękne z długą rzęsą i brwią ładną; włosy ciemnopłowe. Była to bardzo miła i powabna dziewczyna.

— Wujostwo dziś wyraźnie z jakimś przybywają interesem, zaczęła Janina i jest pewna nagłość w tym całym projekcie. Żegnając mnie, Wujenka mówiła, że będą tu dopiero po pierwszym września.

— To i jakiżby mógł być interes? — rzuciła pani Siewońska.

— Nie domyślam się.... chyba, że im się jaki pokłonił konkurent, i dziwnym uśmiechem skrzywiła usta. Mam ja z wami do pomówienia, dodała po chwili szczególniéj poważnie, i zróżowiała więcéj, bo mam zamiar pewien, zamiar niczem niecofniony.

— Uważałyśmy, żeś bardzo nieswoja do domu wróciła, i niepokoiło nas to ciągle, odrzekła pani Siewońska.

— Po razy parę już chciałam zapytać: co tobie?— dodała Julja.

— Och ja wam opowiem co mnie spotkało, i to jako *dziedziczkę Jodłowca!* wymówiła Janina, a gorycz odbrzmiewała w jéj głosie, tak miłym zwykle i dźwięcznym. Gdy mnie Wujenka odwoziła, a wiecie że pociąg południowy zatrzymuje się blisko dwie godziny, wzięła powóz z dworca i kazała się zawieść do doktora N. z którym pomówić chciała. Zostałam się więc sama w hotelu, lecz po kilku już chwilach, przybył pan Dowgit w odwiedziny, posłyszawszy że tu jesteśmy. A właśnie z Krakowa powracał. Usiadłam z nim przy oknie, i przez zapuszczone żaluzje, bo słońce południowe dopiekało, patrzyliśmy na ożywioną w koło krzątaninę. W tém nadchodziło kilku mężczyzn, a pomiędzy nimi był pan Hilary Klimaszewski, kuzyn pani Rohojowskiéj w Brzostowie... ów piękniunio moduiś... *coxcomb* nieznośny. Obok niego szedł młody człowiek, oczywiście nie tak piękny jak pan Hilary, bo takie cacka są rzadkie, ale przystojniejszy i z wyrazem nieporównanéj wyższości.

— Patrz pani wymówił pan Dowgit, to jest hrabia Jerzy Gorysławski, młody człowiek wielce dy-

styngowany: perła prawdziwa. Ma on dobra w.....skiem, piękne i znaczne. A wraca właśnie z Krakowa, dokąd odwoził na uniwerystet jakiegoś ucznia medycyny, który na jego jest koszcie.

— Wyznam szczerze, żem z sympatją popatrzała się na tego pana Gorysławskiego. Wysoki, zręczny, z czarnym wąsem i bródką, odznaczał się szczególniéj dobrze przy różowo-białym, lalkowatym panu Hilarym. Nadto i ubiór jego, jakkolwiek świeży i modny, i w smaku najlepszym, ale tak jakoś niby od niechcenia włożony, barw skromnych.... przy pstrokatym stroju pana Hilarego wielce dystyngowanie wyglądał. Rysy twarzy jego są wyraziste, wymowne, szlachetne, wrażające się w pamięć. Pan Gorysławski z ożywieniem mówił, rozprawiał, śmiał się.... a piękne ma zęby. Stali przez długą chwilę pod oknem, a potém poszli ku miastu. Pan Dowgit mnie pożegnał. Po chwili słyszę rozmawiającą sługę w przyległym pokoju a głos zdawał się tak bliskim, jak gdyby tuż obok mnie. Drzwi były zawieszone portjerą, podnoszę ją.,.. i otóż w miejscu drzwi drugą widzę portjerę, podnoszę tamtą, i jestem w obec dziewczyny.

— Cóż to? Drzwi niemasz? — pytam. Pękły na dwoje i są u stolarza. Cofam się, zapuszczam portjery i znowu stawam przy oknie, wyglądając Wujenki. W tém powracają panowie Gorysławski i Klimaszewski. Niezadługo słyszę, że sobie objad podać kazali.

— Wiesz, hrabio, zagadał pan Hilary, a poznałam głos jego wymuszony i przybierający *par force* akcent francuzki,

— Nie dawaj mi tego tytułu, panie Hilary, odrzekł tamtem.

— Dlaczegoż nie?

— Nie używam go, chyba tylko w bardzo wyjątkowych razach, odrzekł pan Gorysławski, i dodał jeszcze słów kilka ciszéj.

— *Pardon*.... posłyszałam znowu pana Hilarego. Otóż winienem tu oddać wizytę.

— Komuż? — zapytuje drugi.

— Pani Gromontowskiéj, bo jest z nią tutaj *la belle heritière*, hrabianka Janina Swiętoborska.

— *La grande heritière*, powiedz raczéj, odrzekł pan Gorysławski dziedziczka Jodłowca.

— Czy znasz ją?

— Bynajmniéj! Nie widziałem jéj nigdy, lecz mówiono mi o niéj w Krakowie.

— Nigdy jéj niewidziałeś? zapytał pan Hilary po raz drugi, jakoby nie dowierzając.

— Nawet i cienia jéj nie widziałem! zaśmiał się pan Gorysławski.

— I mówili w Krakowie zapewne, że jest ładna?

— Naturalnie! Bo któraż *heritière'a* nie jest czarującą?

— Chwalili ją?

— Jak najoczywiściéj!

— I zachęcali, byś panie starał się o nią?

— Nie inaczéj! Smaczny to kąsek.

— Ależ na honor, hrabio, nie przeszkadzaj mi! Jestem zakochany *à la folie*!

— Wierzę bardzo! — odrzekł Gorysławski, głosem spokojnym, wyraźnym. Gdyby była i straszną i brzydką, jak Pastrana, a głupią, jak koza, to zawsze należy klęknąć przed takiem bożyszczem, i można być zakochanym *à la folie*. Każda dziedziczka bogata jest piękną.

— Hrabio...

— Ależ nie hrabio! — przerwał znowu Gorysławski panu Hilaremu,

— Panie, na honor cię zaklinam, na honor! — i zaklinając, pan Hilary na chwilę o swoim francuzkim zapomniał akcencie. Nie przeszkadzaj mi panie! Myślę skończyć za parę tygodni.

— Czy tak? A jakież masz widoki?

— Podobałem się pannie, wiem o tem i akcent powrócił mu znowu.

— Więc myślisz oświadczyć się wkrótce?

— A tak, i mam wszelkie nadzieje. Zapewnia mnie kuzyna moja żem się hrabiance podobał kompletnie.

— *Aut, aut!* Oświadcz że się, a jeżeli jéj przyjdzie kaprys, fantazja i odmówi, wtedy ja probuję szczęścia.

— Tylko, na honor nie zawcześnie! Na honor! Bo panny drożą się czasem z początku, *precyozują się*, zwłaszcza téż takie *heritiére'y*. Nie przeszkadzaj, panie! Gdyby nawet odmówiła... nie zrażę się wcale, i przeczekam te *fumy*.

— Tak, tak, bogate heritiére'y igrają sobie niekiedy z nami, biednymi śmiertelnikami: im jest dozwolony taki *fun*!

— Więc poczekasz dopóki ja nie skończę całkiem?

— Daję na to słowo!

— Zacisnęłam oczy.... pochyliłam się na okno... i zapłakałam! Zapłakałam z upokorzenia i nieznanego mi dotąd bólu zranionéj dotkliwie, nie miłości własnéj, ale godności!... Gdyby kobietom były pojedynki dozwolone, byłabym pana Gorysławskiego na pistolety, aż do śmiertelnego wyzwała postrzału! Janina pobladła, zapłonęła, miała łzy w oczach, a potém zaśmiala się głośno, lecz z przymusem. Jego właśnie, jako ową wyższość, w obec tego *coxcomb'a* wypaczulowanego!..... Posłyszałam wracającą Wujenkę, zapuściłam żaluzje całkiem, ażeby ciemniéj było: by nie dostrzegła, żem płakała... osuszyłam oczy i udałam, że mnie zęby bolą. Wujenka nie dostrzegła niczego... Zjadłyśmy objad. A potém okryta beduiną i zakwefiona potrójnie, z podwiązaną nadto fularem twarzą, do wagonu wsiadłam. Lękałam się, by nie spotkać tych panów, ale na szczęście nie było ich nigdzie. Otóż ta rozmowa, nieszczęsnym a może szczęśliwym dosłyszana trafem, zmartwiła mnie do głębi, zraniła.., i strawić jéj nie mogę. To jest nie rozmowa, wyraziłam się niewłaściwie, bo wyśmiałabym to co powiedział pan Hilary,.... ale wyrażenia Gorysławskiego!

— Był to pewnie czczy frazes, tak ot rzucony tylko! — ozwała się pani Siewońska.

— A może *persyflował* pana Hilarego, dodała Julja.

d. c. n.